BEZPŁATNY DODATEK

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 16. Niedziela, dnia 2-go sierpnia Rok 1914

PRZEZ BOLEŚĆ I MIŁOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA NAPISAŁ JÓZEF ROGOSZ

(Ciąg dalszy.)

— Chcesz mi co powiedzieć? — mama zapytała.

— Przyszłam po chusteczkę, którą prawdopodobnie musiałam tu zostawić.

— Przecie ją w lewej ręce trzymasz.

— Ach! prawda.

— Widać, że się córeczka dobrze bawi, skoro na takie drobnostki nie zważa — zauważyła jedna z matron.

Na moje szczęście zagrali kontredansa. Mój kawaler przybiegł, aby mnie z kłopotu wybawić.

Podczas gdyśmy tańczyli, rozmawiałam, acz nie wiele, z moim tancerzem, patrzyłam na nasze is-à-vis, a bojąc się, żeby jakiej figury nie zmylić, anim spojrzała na bok. I pytałam się w duchu, co mi się stało, skąd ta trwoga, lecz nie umiałam sobie na to odpowiedzieć.

Po kontredansie nastąpiła galopada. Teraz Leoś przystąpił, skłonił się w milczeniu, a ja w oczy mu nie patrząc puściłam się wsparta na jego ramieniu.

Nareszcie stanęliśmy nieopodal tych samych drzwi, w których go spostrzegłam. Zwarty tłum nas otaczał. Wśród niego byliśmy osamotnieni.

— Jak to szczęśliwie, że panią tu zastałem — szepnął.

Serce zaczęło mi bić niespokojnie.

— Kto panu powiedział, że tu będę?

— Przeczucie...

Umilkliśmy oboje. Czułam na sobie jego spojrzenie... Tymczasem muzyka grała, pary wirowały, do mnie, na szczęście nikt się nie zbliżał.

— Więc pani doprawdy odjeżdżasz? — po chwili zapytał.

— Odjeżdżam.

— Nieodwołalnie?

— Tak.

— I nie żal pani tych, których zostawiasz?

Miasto odpowiedzieć, podniosłam wzrok ku niemu. W jego oczach tyle było żalu, tyle skargi głębokiej acz niemej, że mało brakowało, abym się w głos rozpłakała.

W prawej ręce trzymałam wachlarz, lewą miałam spuszczoną; nie wiem, jakim to się stało sposobem, lecz moja dłoń lewa znalazła się niespodziewanie w jego dłoni. Uścisnął ją łagodnie, a tak serdecznie, że w tem jednem dotknięciu było więcej uczucia, niż w całej powodzi słów, więcej niż można wymarzyć, więcej niż się można spodziewać.

Jeszcze bardziej onieśmielona nie wiedziałam, gdzie uciekać, gdzie się skryć, ale jak przedtem, tak i teraz znów mnie tancerz z kłopotu wybawił.

Poszłam tedy z nim bez wahania — lecz z jakim żalem!

Nie upłynął kwadrans, a przypadkiem znaleźliśmy się znów obok siebie.

— Nie zapomnisz pani o nas? — pytał cicho, głosem melodyjnym jak harfa eolska.

— Możesz pan o tem wątpić?

— Pamiętaj, panno Kazimiero, pamiętaj! Tu zostawisz duszę zbolałą a wiecznie tęskniącą, która jak rosy ożywczej, jak słonecznego promienia, jak wyroku życia lub śmierci będzie wyglądała twego powrotu!

I znów dłoń moja znalazła się w jego dłoni, znów iskra dotąd nieznana piersi przeniknęła, a radość i trwoga, w jeden akord zlane, zanuciły w sercu śpiew jeszcze niesłychany.

Szczęśliwą byłam, ach! szczęśliwą, jak do tej chwili nigdy, a jednak, gdyby to wrażenie trwało dzień, godzinę, kwadrans, serce musiałoby pęknąć!

Zagrali mazura — mój tancerz przybiegł i bezprzytomną uniósł na środek sali.

O! śnie mój złoty, ty śnie mój tęczowy, ilekroć stajesz przed oczyma mojej duszy, puszczam w niepamięć wszystko: i bóle, i trudy, i zawody, boś niebo rozwarł przedemną!...

XX.

Noc była czarna.

Od dwóch dni znajdowałam się w wagonie. Pociąg przebiegał z początku kraj skalisty, pełen lasów i strumieni, często odzywał się dzwonek na stacyach i ukazywały się mury to miast, to miasteczek, ale dziś rano krajobraz całkiem się odmienił. Góry znikły, lasy zrzedziały, osoby zmieniały się jak w kalejdoskopie, lecz ja ny nie uwagi nie zwracałam. W rogu ukryta, żyłam drogiemi wspomnieniami.

I widziałam ojca, zalewającego się łzami w chwili pożegnania; mamę poważną, lecz wzruszoną; Warzbińską desperującą, że mnie już chyba nigdy nie zobaczy; widziałam sługi, całujące mnie po rękach, nawet pana Zielińskiego, który przyszedł mi powiedzieć dobre słowo na drogę. I widziałam księdza Jana, klęczącego wraz ze mną na stopniach ołtarza, by u-

prosić błogosławieństwa od Boga; słyszałam jego głos wzruszony, gdy mówił:

— Czcij ojca i matkę twoją! Idź w świat i pracuj! Chowaj w sercu głęboką wiarę, miłość i nadzieję, a Bóg cię nie opuści!

Zacny kapłan płakał razem ze mną i długo nie mogliśmy się uspokoić...

Przesunęli się oni wszyscy w pamięci... Stanął przedemną także Leoś, z jasnem czołem, z oczami smutnemi, z uśmiechem, w którym było więcej tęsknoty niż słodyczy, i rzecz dziwna — w całej tej sali dumnej, gwarnej, rzęsiście oświetlonej, tylko jego jednego widzę wyraźnie...

Cicho serce, cicho! Nie czas marzyć, nie czas tęsknić, nie czas żałować. Przedemną trud, rezygnacya i praca. Ale wspomnienie wciąż wraca, ogarnia duszę, zalewa serce i na widnokręgu marzeń ukazuje obrazy pełne nieuchwytnego czaru...

Cicho serce!

Zatrzęsły się wagony, koła zgrzytnęły, pociąg stanął. Konduktor, drzwiczki otworzywszy, stacyę wymienił. Trzeba było prędko wysiadać, bom się już znajdowała u kresu drogi, a pociąg stał tu ledwie dwie minuty. Służba kolejowa rzeczy mi wyniosła.

Przy furcie, przez którą wychodziło się ze stacyi, stał mężczyzna rosły a barczysty. Mimo grubych ciemności dostrzegłam na nim dworską liberyą.

— Są tu konie z Daszowic, od państwa Żyrowskich? — zapytałam, przed nim się zatrzymując.

— To ja po pannę przyjechał — odrzekł sługa, czapki nie uchyliwszy.

Wziął moje rzeczy i, przodem idąc, udał się z niemi do półkrytego powoziku, który stał przed stacyą.

Powóz był zaprzężony w cztery rosłe konie w poręcz. Na koziołku siedział wyrostek może piętnastoletni. Woźnica, przywiązawszy kuferek z tyłu powozu, umieścił resztę rzeczy obok mnie, wskoczył na kozieł, wziął lejce z rąk chłopaka i zawoławszy przeciągle coś niezrozumiałego, jakby zawodził, ruszył z miejsca.

Po kilku minutach jazdy znajdowaliśmy się na stepie.

Księżyca nie było, gwiazdy w gęstych chmurach utonęły, wicher dął od zachodu i drobnym deszczem pluskał. Chustką otulona siedziałam w głębi powozu i cała w myślach utonęłam.

Dość długo jechaliśmy równiną jednostajną, nie widząc drogi przed sobą. Jakim cudem woźnica nie zbłądził, to jego tajemnica. Nareszcie powóz zaczął się szybciej toczyć, jakbyśmy w dół zjeżdżali. Wychyliłam głowę. O ile mogłam dojrzeć, znajdowałam się w jarze głębokim, pośród którego widać było ciemne zbite masy. Były to domostwa, tworzące w tym parowie wieś ukraińską. W żadnem oknie nie dostrzegłam światła; wszystko spało — nawet psy milczały. Dopiero gdyśmy pod górę zaczęli wyjeżdżać, gdzie na krańcu wsi znajdował się kołowrot niezamknięty, ujrzałam wśród drzew murem okolonych kilka okien jasnych. Był to dwór; tam jeszcze nie spali.

I znów stepem pędzimy, konie rwą ziemię kopytami, niekiedy prychają, woźnica zawodzi, ruch jednostajny a cichy po miałkiej drodze do snu mnie kołysze. Nagle powóz zatrząsł się, stanął, potem ruchem gwałtownym w miejscu się obrócił.

— Co się stało? — zawołałam ze snu zbudzona.

— Wilki! — woźnica krótko odpowiedział i, lejce puściwszy, zdał się na instynkt koni.

Szalony orkan porwał mnie w swoje objęcia i niósł ponad ziemią. Nie słyszałam ani turkotu, ani koni parskania, tylko wiatr dziko szumiał a jam leciała za światy. Ten ruch odurzył mnie i w części odjął przytomność. Nie miałam czasu ani myśleć, co się ze mną działo, ani się bać. Westchnęłam tylko do Boga i chociaż po obu stronach powozu widziałam małe światełka, jakby błędne ogniki, nie zdawałam jednak sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa. Na nasze szczęście wieś, którąśmy minęli, była niedaleko. Konie wpadły przez otwarty kołowrot do jaru i, nie wiem, czy kierowane ręką przytomnego woźnicy, czy też z własnej woli, puściły się galopem prosto ku dworowi, którego brama, w murze ogrodowym, także nie była zamknięta.

Z kuchni jasno oświetlonej wybiegło ludzi kilkoro, między nimi kucharz w białej czapce. Koni nie było trzeba wstrzymywać, bo same stanęły. Kucharz, usłyszawszy, co nas spotkało, kazał natychmiast bramę zatrzasnąć.

— Chwała Bogu, że was nie zjadły, bo to u nas nie trudno — rzekł poważnie. — Zaraz pójdę panu powiedzieć, kto przyjechał.

Nie potrzebował wszakże tego czynić, gdyż na ganku ukazał się mężczyzna słuszny, dosyć otyły; trudno było dojrzeć, czy był młody, czy stary. Głosem donośnym zapytał:

— A tu kto?

— Proszę jaśnie pana to ja, Jurko z Daszowic. Jechałem z kolei z gubernantką, ale musiałem nawrócić, bo nas wilki spłoszyły.

— Skoro tak się stało, to u mnie przenocujcie — rzekł gospodarz. — Proszę, niech pani wysiądzie — dodał, ale z miejsca się nie ruszył.

Wyznaję, że dopiero teraz strach mnie ogarnął. Nie bałam się wilków a przeraził mnie ton głosu tego człowieka, niemiły, ochrypły, bez odcienia uprzejmości. Wysiadłam jednak, bom musiała. Gdym nogę postawiła na stopniu powozu, doleciały mnie dźwięki fortepianu. Teraz wolniej odetchnęłam; przynajmniej wchodziłam do domu, w którym znajdowały się kobiety.

— Proszę pani tędy — przemówił znów gospodarz, lekceważącym ruchem ręki drogę mi pokazując.

Weszłam do obocznego pokoju, w którym dokoła olbrzymiego bilardu stało sług kilkoro. Nie robiły one nic, tylko słuchały. Przez drzwi od salonu, nieco uchylone, dolatywały śmiechy, krzyki i niesforne tony fortepianu. Niekiedy słychać było także uderzenia w podłogę, jakby kto hołupce wybijał.

Strach ogarniał mnie coraz większy.

— Proszę pani, proszę dalej! — mówił gospodarz za mną postępujący. — Na dobrą chwilę pani trafiła... Mamy wesołych gości, sami kawalerowie jak złoto, zabawimy się razem.

Ledwie to powiedział, wypadł z salonu mężczyzna młody, niezmiernie wysoki, z twarzą czerwoną i cygarem w ustach.

— A to co za marmuzela?! — krzyknął zdziwiony, do mnie przyskakując.

— Guwernantka Żyrowskich. Przestraszyła się wilków i między nas się skryła.

— A, my nie wilki, nie! — wysoki młodzieniec zawołał i pochyliwszy się nademną, jakby mi ramię do tańca podając, krzyknął: — Służę pani! Tadzio gra właśnie galopadę.

— Dziękuję panu... ja tu zostanę... nie tańczę...

— Ależ marmuzelciu, na co te grymasy? Na taką surowość masz oczy za ładne!

Z temi słowy chwycił mnie pod ramię i przemocą ciągnął za sobą. (Ciąg dalszy nastąpi.)

WŚRÓD ZBÓŻ.

Wieśniak od pracy w swobodniejszą chwilę
Wychodzi w pole, gdzie złociste zboże
Tak się doń wdzięczy i uśmiecha mile,
Jako to dziewczę do młodzieńcza hoże...
Wietrzyk je w kłosy całuje miłośnie
I ciche na nich melodye wygrywa,
Więc się faluje i mieni, jak morze,
I jakaś błogość rozkoszna zeń wieje.
Skowronki piosnki dzwonią wciąż radośnie
Gdzieś hen... pod słonkiem, co się jasne śmieje
I szczodrze blaski na łany rozsiewa,
I lśni i igra z kłosami wesoło...
A łany szumią wciąż, schylając czoło,
Bo przeczuwają blizką porę żniwa.

Jak podczas suszy kwiatek, co zamiera,
Czeka na rosę ożywczą spragniony —
Tak oczekuje rolnik na swe plony.
Często na nieba sklepienie spoziera,
Pilnie zważając, co mu ono wróży.
I z głębi serca prośba płynie szczera,
By Bóg zachował od gradowej burzy,
Lub od nadmiaru deszczu ten kochany
Szmat drogiej ziemi — te złociste łany.
Z jakąż miłością oczyma on wodzi
Po tych obeszrnych ślicznych falach zboża,
Które mu, jeśli wola będzie Boża,
Obfitem ziarnem wszystek trud nagrodzi!

Z jakąż radością ścieżyną on kroczy
Między pszenicy i żyta ścianami,
Łubym widokiem napawając oczy!
Kłos go co chwila uderza po twarzy,
On się zadumał, wspomina i marzy.
Jak to on zasiał własnemi rękami
Drobne perełki w tę ziemię, w tę czarną,
A dobra matka pomnożyła ziarno — —
I oto zboże mile doń się śmieje
I cichym szumem prawi swoje dzieje.
A on zasłuchał cały się w tym szumie —
Bo co się kocha, to się i rozumie.

BŁĘDY W WYCHOWANIU DZIECI.

NAPISAŁA JADWIGA MILEWSKA.

(Ciąg dalszy.)

Nie potrzeba też, jak to wiele rodziców czyni, używać w rozmowie w małemi dziećmi języka niby dziecinnego, a w rzeczywistości wymyślonych wyrazów, bo to nie ma żadnego celu. Każde dziecko ma swój własny język, bo każde inaczej przekręca zasłyszane u starszych słowa, ale stara się powoli, nabierając wprawy, coraz podobniej do starszych mówić, tak jak stopniowo od czołgania na czworakach przechodzi do podnoszenia się na nóżki i nareszcie do chodzenia. Cobyśmy powiedzieli o rodzinach, którzy chcąc dziecko uczyć chodzić, chodziliby sami na czworakach? Mielibyśmy ich za półgłówków. A jednak coś podobnego dzieje się z nauką mówienia: zamiast pomagać dziecku, a potem przestrzegać, aby jak najdokładniej powtarzało mową ludzką, stwarzają mu matki nowy język i dziecko słyszy, jak matka do starszych mówi, „kartofle są gorące", a do niego, „że laliki chi!", — „że pójdzie na dwór", a do niego „elą", na jedzenie mówi „papu", na psa — „ciucia", na ładne — „caca", na brzydkie — „bla" i t. d.

To dziecku utrudnia tylko naukę mówienia, bo równocześnie uczyć się musi podwójnych nazw dla każdej rzeczy, a nie przestrzegane przez rodziców, pieści się, sepleni, nie wymawia wszystkich liter, z czem później przy nauce czytania kłopot dla uczących wielki.

Z nauczeniem zasad wiary źle się też dzieje. Matki bardzo wcześnie, bo często już w 4 roku życia, uczą dzieci pacierza wraz z przykazaniami i innymi artykułami wiary i zdaje im się, że byle dziecko umiało wypowiedzieć te modlitwy na pamięć, to już obowiązek matki chrześcianki spełniony. O zrozumienie słów wymawianych, o wpojenie w młode serduszko miłości Boga i Chrystusa, nie idzie tu wcale. Zresztą zbyt małe dzieci zrozumieć tego nie mogą. Przy nauce katechizmu znowu to bezmyślne dosłowne wyuczanie się na pamięć. A skutek taki, że dziecko, które cały katechizm umie doskonale na pamięć, zapytane innemi słowami, plącze się i odpowiedzieć wcale nie potrafi. Księża przy nauce przed spowiedzią uskarżają się bardzo na to, że dziecko nieraz niby dużo umie, a nic nie rozumie; a właściwie każde dziecko powinno to wszystko rozumieć i mieć wytłomaczone przez rodziców w domu, a do księdza przychodzić na egzamin i dokończenie nauki.

Przy każdej odpowiedniej sposobności rodzice powinni się powoływać na naukę Chrystusa. Niech dziecko wie, że „czcij ojca twego i matkę twoją", odnosi się do wszystkich starszych i zwierzchników; że „zabić" można nietylko nożem, albo rewolwerem, ale i obelżywem słowem, że kradzież, to przywłaszczenie nietylko pieniędzy, ale każdej obcej rzeczy; że fałszywie świadczyć można nietylko w sądzie, ale w każdym wypadku, gdy kłamliwie oskarża się kogoś niewinnego; że „kochaj bliźniego twego, jak siebie samego" nakazuje pomagać bliźnim, doradzać im, ułatwiać — nie zazdrościć, nie krzywdzić, nie poniżać, nie pogardzać. Trzeba wyrobić w dzieciach poczucie „wiary żywej", tj. aby wymawiane przykazania w życiu stosowały, aby je odczuwały sercem i starały się na każdym kroku dążyć do naśladowania dobrych przykładów. Niech postępowanie dobre, zgodne z nauką Chrystusa stanie się „naturą dziecka", aby nie strachem dyabłów, i piekła, nie biciem i innemi karami, ale umiłowaniem dobra i prawdy prowadziło je do doskonałości.

Z kolei rzeczy zastanowić się wypada nad karami, jakich używają rodzice jako środków, jak mówią, do poprawienia dzieci.

Kary wogóle wymierzają rodzice za surowe i bardzo często niesprawiedliwe, gdyż wielkość kary nie zależy od przewinienia, ale od humoru i usposobienia rodziców w danej chwili, czasem kilka razy przepuszczą dziecku to, za co potem pod wpływem gniewu obiją skórę. „Żeby nie było kary, toby nie było miary" — mówi przysłowie; ale kara powinna być sprawiedliwa i umiarkowana i taką każdy winowajca z pokorą przyjmie, niesprawiedliwość zaś oburzy nawet małe dziecko, bo na odczucie krzywdy nie potrzeba być dorosłym.

Przez nazwę kary na dzieci przeważnie rozumieją wszyscy karę cielesną, czyli bicie, i mało jest takich rodzin, w których nie używają rózgi, dyscypliny albo ojcowskiego paska, nie mówiąc już o kułakach, szturchańcach, wymierzanych przy każdej sposobności przez matki i starsze rodzeństwo. Jest

to wynikiem ciemnoty i bezmyślności rodziców. Gdyby się zastanowili, toby sami doszli do przekonania, że bijąc dzieci, tem samem równają je z bydłem, ze zwierzętami, z któremi innym sposobem się nie poradzi, nie mogąc rozmówić się i wytłómaczyć im, czego żądamy.

I to dziwne, że ci sami ludzie w rozmowie o biciu w czasach poddaństwa, czy w wojsku, czy we więzieniu, oburzają się, jak można bić człowieka, jak „nieme stworzenie", a z ukochanemi swemi dziećmi, dla których żyją i pracują, postępują tak właśnie, jak dawni dozorcy niewolników lub stróże więzienni.

Kara cielesna w zastosowaniu do człowieka jest rzeczą wstrętną, poniżającą, niegodną ludzi myślących i dlatego, w miarę rozszerzenia się oświaty, wychodzi coraz więcej z użycia: nie stosują jej w wojsku, w szkołach, jedynie w rodzinach cała umiejętność chowania dzieci leży w „dyscyplinie; i w „rzemiaku". Pomijam tu zupełnie szkodliwość dla zdrowia, bo to jest dla każdego widocznem, ale chcę zwrócić uwagę na szkody moralne, biciem sprowadzone.

Dzieci często bite ze strachu zatracają wstyd i godność osobistą, gotowe są poniżać się, udawać pokorę, skruchę, byle się uwolnić od bolesnej kary. Na dzieci zawzięte, uparte, kara cielesna jeszcze gorzej działa, nabierają one zawiści do ludzi, zacinają się w złem, stają się skryte, ponure, podejrzliwe, mściwe. Nie mogąc się zemścić za swoją krzywdę na starszych, wywierają swą bezsilną złość na młodszem rodzeństwie lub zwierzętach.

Widzimy np. jak niektóre dzieci z przyjemnością znęcają się nad zwierzętami: rzucanie kamieni w psy, stojące na łańcuchu, wkładanie kotom ogonów w rozszczepiony kijek, topienie małych szczeniąt, wybieranie ptakom jaj i męczenie małych piskląt — przecież to są ulubione zabawy takich chłopców, którzy biorąc sami częste cięgi, w ten sposób dają ujście swojej złości. (Ciąg dalszy nastąpi).

Dla domu i gospodarstwa.

— Dziesięć praktycznych przykazań dla niewiast. 1. Gospodyni, żono, zważaj, aby twemu mężowi dom był przyjemny i miły! Gdy w domu będzie się czuł szczęśliwy, nie pójdzie do karczmy. Czyste mieszkanie i przyjemnie uśmiechnięta żona — czyż nie miałoby to zastąpić brudnej, zadymionej karczmy?

2. Bądź zawsze przyjemna i wesoła, bądź słońcem domowem.

3. Gdy mąż zmęczony wróci od pracy, nie dręcz go wyliczaniem błahych domowych trosk.

4. Przygotowuj wracającemu do domu punktualnie jedzenie!

5. Gotuj dobrze! Bo gdy mu w domu jedzenie smakować nie będzie, chętniej pić będzie w karczmie.

6. Obchódź się z solą, pieprzem i korzeniami bardzo oszczędnie! Bo one drażnią podniebienie i pobudzają chęć do picia.

7. Gotuj często jarzyny, potrawy z jaj, ale przedewszystkiem dużo mleka i owoców.

8. Okazuj zainteresowanie się wszystkiem, co twojego męża zajmuje! Słuchaj go chętnie, gdy o swoich interesach opowiada, omawiaj, jeśli to lubi, polityczne i zwykłe dzienne wydarzenia.

9. Gdyby mąż twój przyszedł kiedy podpiły do domu to — milcz, milcz, milcz! Rób mu wyrzuty dopiero, gdy będzie trzeźwy i to czyń z cierpliwością!

10. Czytaj wraz z mężem wieczorem lub przynajmniej w niedzielę dobrą gazetę lub dobrą książkę!

— Kto winien? Nieraz słyszy się z ust dzieci klątwy i najwstrętniejsze wyrażenia, jakie używają w obcowaniu między sobą, a nieraz i wobec starszych. Skąd to pochodzi? Kto temu winien? Nie można zaprzeczyć, że ulica pod tym względem jest bardzo skuteczną szkołą, ale głównem źródłem złego jest bezwątpienia także rodzina. Jakże to smutno, gdy się słyszy, jak własna matka lub ojciec rodzone dziecko swoje obsypują najsprośniejszemi wyzwiskami. To przywyknięcie w domu rodzicielskim do sprośnych wyrażeń jest silniejszem i trwalszem, aniżeli wpływ ulicy. Dzieci aż nazbyt szybko dojdą do wniosku, że skoro rodzice tak mówią, skoro oni klną i wyzywają, to i im także wolno. Jak błogim pod każdym względem jest dobry przykład rodziców, tak równie zgubnym jest zły przykład jaki dają dzieciom. A zatem rodzice, strzeżcie swego języka. Niech żadna klątwa, ani brzydkie słowo nie wyjdzie z ust waszych w obecności dzieci, bo pamiętajcie, że

Jakie słowa wołacie w lesie,
Takie też wiernie echo przyniesie.

— Klops z sosem. Trzy funty zrazowego mięsa i pół funta łoju wołowego posiekać tak, aby żadnej żyłki nie było, wyżyłować, dodać dwa żółtka, włożyć jedną bułkę wymoczoną w wodzie lub rosole i wyciśniętą dobrze z wilgoci, utrzeć cebulę upieczoną, dodać pieprzu, soli, to wszystko wymięszać i robić kotleciki płaskawe, okrągłe, obsypać mąką, obsmażyć parę minut na rumianem maśle i i włożyć w rondel, w którym jest trochę rosołu lub bulionu, żeby tylko klopsy pokryło; łyżka masła, pół cytryny wyciśniętej w pół szklanki wody, kawałek cukru, trochę kaparów, garść tartej bułki; przykryć pokrywą i z 10 minut dusić razem z klopsami. Zamiast bułki można trochę mąki rozetrzeć z masłem.

— Zupa jarzynowa hygieniczna. Parę kalarepek pokrajać w kostki lub podłużnie, tak samo kilka marchewek, i ćwierć główki kapusty sparzonej i uszadkowanej, pietruszki zielonej usiekanej, garść świeżego groszku, wszystko udusić w rynce z łyżką świeżego masła aż będzie miękkie. W wazę włożyć warstwę grzanek z bułki cienko krajanej w plasterki i obsmażonej na maśle, na nie posypać zielonej pietruszki usiekanej, włożyć łyżkę świeżego masła, zalać to gotującą się zupą z jarzynkami, przykryć a po chwili zaprawić dwoma rozbitemi żółtkami. (Kiedy jarzynki duszone z masłem i trochą wody już miękkie, zalać je odpowiednią ilością wody gotującej i razem zagotować, osolić.) Zupa ta jest bardzo smaczną i pożywną nawet dla chorych.

— Na zaziębienie t. j. dreszcze, kaszel i katar trzeba przedewszystkiem wypić na noc coś takiego, coby wywołało poty; więc napar suszonej maliny, kwiatu lipowego lub bzowego z miodem, wreszcie żółtko utarte z cukrem z dodatkiem łyżeczki mocnej wódki. Pierś, plecy i nogi wytrzeć mocno octem z terpetyną (skipidarem) i ciepło okryć się. Tylko już potem z izby wychodzić nie można.

— Na ból w piersiach i chrypkę dobry jest następujący środek: Dużą cebulę pokrajać w cienkie plasterki, przesypać na noc miałkim cukrem, zrana zlać gęsty syrop, jaki się utworzy i pić po łyżeczce co godzina.

— Na katar pomaga wciąganie nosem roztworu bornego kwasu i smarowanie nozdrzy łojem baranim lub koźlim.